

Zbrodnia Wołyńska

<https://zbrodniawolynska.pl/zw1/historia/spory-o-wolyn/152,Grzegorz-Motyka-Nieudana-ksiazka.html>
2021-09-28, 12:47

Grzegorz Motyka, Nieudana książka

Recenzja książki Wołodymyra Wiatrowycza *Druha polsko-ukrajńska wojna 1942-1947* (Druga wojna polsko-ukraińska 1942-1947)

Na Ukrainie pojawiła się książka opowiadająca o budzącej nadal wiele kontrowersji działalności OUN i UPA. Autora niezbyt interesuje, jak było naprawdę. Próbuje natomiast obronić UPA przed zarzutem prowadzenia zorganizowanych antypolskich czystek.

Po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej rząd polski na uchodźstwie wznowił stosunki dyplomatyczne z ZSRS zerwane we wrześniu 1939 roku. Od tej pory polscy dyplomaci wielokrotnie upominali się o uwolnienie z niewoli dwudziestu tysięcy oficerów, których, jak później się okazało, funkcjonariusze NKWD rozstrzelali w Katyniu. Podczas jednego z takich spotkań z sowieckim kierownictwem na pytanie o los polskich jeńców Józef Stalin spokojnie odpowiedział: „Może uciekli do Mandżurii”. Ta anegdota przypominała mi się w trakcie lektury książki Wołodymyra Wiatrowycza *Druha polsko-ukrajńska wojna 1942-1947* (Druga wojna polsko-ukraińska 1942-1947).

Autor należy do młodego pokolenia ukraińskich historyków – zadebiutował w 2000 roku książką o rajdach Ukraińskiej Powstańczej Armii w Czechosłowacji. Sposób, w jaki przedstawił tę mało znaną kartę dziejów, spotkał się z uznaniem. Zapewne dlatego został pierwszym dyrektorem Centrum Badań Ruchu Wyzwoleńczego we Lwowie grupującego młodych naukowców zajmujących się problematyką ukraińskiego ruchu oporu. Liczne publikacje Centrum bez wątpienia poszerzyły wiedzę na temat dziejów Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów i Ukraińskiej Powstańczej Armii, dało się jednak w nich zauważyć niepokojącą tendencję do pomijania niewygodnych tematów z historii tych organizacji oraz apologetyczne traktowanie ich uczestników. Większą rozpoznawalność przyniosła mu jednak dopiero nominacja na stanowisko dyrektora Państwowego Archiwum Służby Bezpieczeństwa Ukrainy (posiadającego zbiory nie mniej cenne niż polski Instytut Pamięci Narodowej). Prestiż sprawowanej funkcji oraz zaufanie ze strony prezydenta Wiktora Juszczenki uczyniły z Wiatrowycza jedną z pierwszoplanowych postaci kreujących ukraińską pamięć historyczną. Z ważnym stanowiskiem musiał rozstać się niedługo po dojściu do władzy Wiktora Janukowycza, jednak do jego tekstów nadal przykłada się szczególną wagę.

Z tym większym rozczarowaniem przyjąłem jego ostatnią książkę. W rzeczywistości nie jest ona nawet pracą naukową, a luźnym historycznym szkicem. Choć może należałoby raczej wprost powiedzieć, że mamy do czynienia z czymś w rodzaju mowy obrończej wygłoszonej przez zdolnego, lecz zaangażowanego emocjonalnie w sprawę adwokata. Autor bowiem nawet nie próbuje ukryć, że chodzi mu o obronę banderowskiej frakcji OUN i UPA przed, w jego mniemaniu, niesprawiedliwymi zarzutami o mordowanie polskiej ludności cywilnej. Temu zadaniu postanowił poświęcić się do tego stopnia, że po przeczytaniu książki mam wręcz wrażenie, iż autora niezbyt interesuje to, co rzeczywiście wydarzyło się między Polakami i Ukraińcami w czasie drugiej wojny światowej. Tym próbuję wytłumaczyć sobie, dlaczego Wiatrowycz pisze pod z góry założoną tezę, odrzucając lub pomijając wszelkie argumenty i fakty, które do niej nie pasują. Nie sposób krótko odnieść się do

wszystkich słabości jego książki, więc ograniczę się do kilku najważniejszych kwestii.

Poszukiwanie winnych

Jednym z głównych wątków obecnych w opracowaniu Wiatrowycza jest próba udowodnienia, że nie było rozkazu OUN-B nakazującego wymordowanie polskiej ludności. Według niego, mordy zostały zapoczątkowane przez spontaniczne wystąpienia wołyńskich Ukraińców lub przez „pierwszą” UPA Tarasa Borowcia „Bulby”: nie można jednak mówić o odpowiedzialności OUN-B, która miała włączyć się do antypolskiej akcji dopiero latem 1943 roku, „zmuszona” rozwijającą się dynamicznie sytuacją. Autor stara się przy tym podważyć na przykład zeznania Jurija Stelmaszczuka „Rudego”, jednego z organizatorów antypolskich czystek w zachodnich powiatach Wołynia. Mnoży w tym miejscu wątpliwości, sugerując manipulację przesłuchujących „Rudego” oficerów sowieckiego aparatu bezpieczeństwa. Wskazuje, że zapisana w jego zeznaniach liczba piętnastu tysięcy zabitych Polaków jest niewiarygodna, przytaczając sprostowaną na procesie przez samego Stelmaszczyka liczbę zabitych osób polskiej narodowości (pięć tysięcy), jakby nie budziła ona już grozy. Wiatrowycz powątpiewa również w liczbę (około stu) polskich miejscowości wymordowanych przez UPA 11 lipca 1943 roku. Gdyby rzeczywiście doszło wówczas do zorganizowanej akcji antypolskiej – twierdzi autor – musiałyby to znaleźć odzwierciedlenie w sprawozdawczości OUN, tymczasem wynika z niej, że tego dnia ofiarą ukraińskich nacjonalistów padła jedna polska wioska. Brak dokumentu własnego OUN i UPA nakazującego przeprowadzenie antypolskich czystek jest dla niego żelaznym dowodem na to, że takiego rozkazu nie było. Ktoś niezorientowany w zawiłościach stosunków polsko-ukraińskich po przeczytaniu „wołyńskich” fragmentów książki może wręcz odnieść wrażenie, że w ogóle nie było żadnych zorganizowanych mordów na Polakach. A jeśli nawet były, to tak naprawdę nie wiadomo kto i co zrobił.

Niekiedy trudno zrozumieć, jakie są prawdziwe poglądy autora. W pewnym miejscu twierdzi zdecydowanie: „co najmniej do sierpnia 1943 roku nie było żadnej ostatecznej decyzji Prowidu OUN w sprawie rozwiązania kwestii polskiej”, by już kilka stron dalej zacytować z aprobatą jednego z dowódców UPA Stelmaszczuka, który przyznaje, że wówczas dopuścił się masowych mordów na Polakach na polecenie dowódcy wołyńskiej OUN-B i UPA Dmytra Kliaczkiwskiego „Kłyma Sawura”. Widać więc, że jakieś rozkazy jednak istniały. Z kolei w innym fragmencie Wiatrowycz zdecydowanie utrzymuje: „Próba odpowiedzi na pytanie, czy kierownictwo ukraińskiego podziemia inicjowało masowe antypolskie akcje, pozostaje sprawą dyskusyjną”. Tego typu retoryczne chwytły sprawiają, że znakomita większość czytelników książki zamknie ją z przekonaniem, iż OUN nie wydawała żadnych poleceń w sprawie polskiej. I tylko nieliczni dostrzegą, że w istocie Wiatrowycz przychyliła się, a przynajmniej nie odrzuca hipotezy, według której „Kłym Sawur” wydał rozkaz eksterminacji polskiej ludności na własną odpowiedzialność, bez konsultacji z Centralnym Prowidem OUN. Stało się to przyczyną ostrej krytyki poczynąń Kliaczkiwskiego w trakcie III Zjazdu OUN. Wiatrowycz o tym napomyka, bo wpisuje się to w ogólny wydźwięk jego narracji, ale nie wspomina już, czym zakończyła się ta burzliwa dyskusja. Tymczasem ma to podstawowe znaczenie dla oceny działań kierownictwa OUN. Jak bowiem wynika z dostępnych materiałów, Centralny Prowid OUN-B (przede wszystkim z inicjatywy Romana Szuchewycza) przyjął do wiadomości antypolskie działania „Kłyma Sawura”, a więc je zaaprobował. Wątpliwości Szuchewycza ostatecznie rozwiąły się w trakcie jego

inspekcji na Wołyniu jesienią 1943 roku. To wtedy najpewniej postanowił „wołyńską taktykę” przenieść do Galicji Wschodniej.

Kozioł ofiarny

Według Wiatrowycza, jak już wspominałem, pierwsze masowe mordy na Polakach miały charakter spontaniczny. Częściową odpowiedzialność próbuje on również zrzucić na „pierwszą” UPA „Bulby”, który, jak skądinąd wiadomo, w kwietniu 1943 roku odrzucił propozycję OUN-B, by przyłączyć się do antypolskich czystek. Hipoteza o „buncie ludowym”, który zapoczątkował „wydarzenia wołyńskie”, nie jest – wbrew temu, co twierdzą niektórzy recenzenci książki Wiatrowycza – niczym nowym. Kilka lat wcześniej tak właśnie przedstawiał rzeź wołyńską ostatni dowódca UPA Wasyl Kuk, przy czym prezentował on jedynie wersję wydarzeń przedstawianą w banderowskim środowisku jeszcze w czasie drugiej wojny światowej. Zdaję sobie sprawę, że hipoteza „buntu ludowego” nie tylko na Ukrainie cieszy się sporą popularnością, tym bardziej więc zwracam uwagę na jej podstawową słabość – nie ma na nią dowodów. By uznać ją za prawdziwą, należałoby wskazać polskie miejscowości wymordowane przez spontanicznie chwytających za siekiery ukraińskich chłopów. Tymczasem, choć udało się zidentyfikować sprawców setek mordów na Polakach, to w każdym takim przypadku mieliśmy do czynienia z banderowcami (ewentualnie z siłą podporządkowanymi im oddziałami melnykowskimi, na przykład Maksa Skorupskiego „Maksa”). W ani jednym nie stwierdzono, by zbrodni dopuścili się sami chłopci. Podobnie rzecz ma się z „pierwszą” UPA „Bulby”: formacja ta walczyła z oddziałami Armii Krajowej, lecz jak dotąd nie znaleziono dowodu na wzięcie przez nią udziału w masakrach ludności cywilnej. I choć w polskich i sowieckich sprawozdaniach początkowo sprawców napadów określano jako „bulbowców”, to wynikało to raczej z popularności formacji Borowcia, a nie z rzeczywistego uczestnictwa jej członków w zbrodniach. To właśnie z powodu rozpowszechnienia przez „Bulbę” nazwy UPA banderowcy ostatecznie postanowili mu ją „wykraść”. Dopóki Wiatrowycz nie wskaże przynajmniej kilku przypadków masowych zbrodni na Polakach popełnionych na samym początku antypolskiej akcji (w okresie luty-maj 1943 roku), w których sprawcami w sposób niebudzący wątpliwości okażą się niepowiązani z OUN-B chłopci lub podkomendni Borowcia, należy wszystkie jego uwagi na ten temat traktować jako gołosłowne.

Nie tylko nie znamy przypadku, aby chłopci samodzielnie dopuszczali się masowych mordów, ale często można było zaobserwować sytuacje, kiedy to UPA mobilizowała miejscową ludność do napadów na polskie osady. Przykładowo, latem 1943 roku partyzanci UPA zebrali we wsi Janówka mężczyzn pochodzenia ukraińskiego w wieku od szesnastu do sześćdziesięciu lat, zaprowadzili do wsi Gaj i tam kazali zabić zgromadzonych już nad dołem Polaków, grożąc śmiercią za niewykonanie rozkazu. Te osoby były uzbrojone tylko w siekiery i widły. Co ciekawe, przykład podobnego postępowania przytacza sam Wiatrowycz, zastrzegając, że tego typu sytuacje były nieliczne i zawsze wynikały z inicjatywy lokalnych komendantów OUN, na co rzekomo wskazuje brak ogólnych instrukcji nakazujących prowadzenie takich akcji. Warto zwrócić uwagę na „metodologię” autora: nie potrafi wskazać choćby jednej polskiej wioski wymordowanej „spontanicznie”, ale nie przeszkadza mu to utrzymywać, że takie zjawisko było szeroko rozpowszechnione na Wołyniu. Natomiast wiarygodne świadectwa potwierdzające mobilizowanie cywilów przez UPA do antypolskich akcji próbuje zbagatelizować. Tymczasem wszystko wskazuje na

to, że napady na Polaków nie miałyby miejsca bez obecności i „zachęty” UPA. OUN-B i UPA nie tylko inicjowały pierwsze tego typu akcje, ale też starały się do nich włączyć jak najszersze kręgi miejscowej ludności. Przymusowo mobilizując chłopów do antypolskich czystek, OUN najpewniej planowała rozprawę z częścią Polaków przedstawić jako „ludowe” samosądy. Przecież bez czynnego udziału chłopów nie można mówić o zaistnieniu tak oczekiwanej przez nacjonalistów „rewolucji narodowej”. Zresztą idea sprowokowania „buntu ludowego” nie była nowa – pojawiła się już u ideologów OUN kilkanaście lat wcześniej .

Przekłamana wioska

Zdaniem Wiatrowycza, „systematyczna informacja o antypolskich działaniach UPA pojawia się w jej dokumentacji, poczynając od czerwca 1943 roku”. Wystarczy wziąć do ręki Litopys UPA. Nowa seria (t. 2), by przekonać się, że nie jest to prawda. W opublikowanym tam sprawozdaniu sotni „Szauli” za maj 1943 roku pod datami: 3, 4, 15, 19, 23, 25 maja zapisano wymownie: „likwidowano kolonie, które współpracują z bolszewikami i Niemcami, własnych strat nie było” . Ponieważ akcje antypolskie zawsze usprawiedliwiano, także w oficjalnych rozkazach wyższego dowództwa OUN i UPA, prawdziwą i rzekomą współpracą Polaków z Niemcami i Sowietami, nie ma wątpliwości, że w dokumencie tym jest mowa o polskich wioskach.

Zatrzymam się tu przy pierwszej sotni UPA. Autor polemizuje bowiem z moją hipotezą, że wieś Parośla została wymordowana 9 lutego 1943 roku właśnie przez pierwszą sotnię, wówczas dowodzoną przez Hryhorija Perehijniaka „Dowbeszkę-Korobkę”. Wiatrowycz uważa, że nie ma na to przekonujących dowodów. Tymczasem jedna z relacji dotycząca tego mordu pochodzi od ofiary tragedii, która cudem przeżyła. Traf chciał, że właśnie w jej domu mieścił się sztab oddziału, gdzie przesłuchiowano wziętych do niewoli członków niemieckiej policji pomocniczej. Ponieważ w okolicy nie było wtedy żadnej zbrojnej potyczki, musieli oni zostać schwytani w pobliskim Włodzimiercu, gdzie – o czym informuje każda historia UPA – pierwsza sotnia zniszczyła nocą z 8 na 9 lutego posterunek policji pomocniczej. Hipoteza, że to właśnie ona kilka-kilkanaście godzin później przybyła do Parośli, wydaje się w tym świetle wiarygodna.

Broniąc członków pierwszej sotni przed zarzutem napadu na wioskę, Wołodymyr Wiatrowycz w swym retorycznym zapędzie przekracza granicę dobrego smaku. Pisze, że oddział miał na wyposażeniu zbyt mało broni, by napaść na polską wieś. Tymczasem mieszkańcy tej miejscowości (ponad 150 osób, w tym kilkumiesięczne dzieci) zostali związani, a następnie kolejno zarąbani siekierami.

Wydarzenia wschodniogalicyskie

Wiele do życzenia pozostawia również zawarty w książce opis antypolskiej akcji w Galicji Wschodniej. Zdaniem autora Drugiej polsko-ukraińskiej wojny, konflikt w tym regionie wywołali Polacy, próbując zemścić się za rzezie wołyńskie, co z kolei doprowadziło do gwałtownej reakcji ukraińskiego podziemia. Czytając opis tych wydarzeń, trudno się zorientować, że na przełomie lat 1943 i 1944 ukraińskie straty w Galicji szły co prawda w setki, ale polskie już w tysiące osób. Nie zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że sama tylko sotnia „Siromanci” zabiła więcej Polaków niż

wszystkie galicyjskie oddziały AK Ukraińców. Choć Wiatrowycz przyznaje, że UPA postanowiła z Galicji Wschodniej wypędzić wszystkich Polaków pod groźbą śmierci, to początek masowej antypolskiej akcji wyznacza dopiero na 5 maja 1944 roku. Nie pisze przy tym, jak należy interpretować fakt zabicia przed tą datą co najmniej kilku tysięcy Polaków. To prawda, że znany od lat historykom rozkaz Centralnego Prowidu nakazujący prowadzenie antypolskich akcji jest właśnie opatrzony datą 5 maja, ale jego treść wskazuje, że jest on powtórzeniem wcześniej już wydanego polecenia (padają w nim słowa „jeszcze raz przypominamy”).

Jak pokazuje analiza wydarzeń, OUN-B w Galicji Wschodniej już w drugiej połowie 1943 roku przystąpiła do likwidowania „polskiego aktywu” (księży, nauczycieli, leśników). W kolejnym etapie napadano na wybrane polskie wioski. Akcję masowych antypolskich czystek i wypędzania polskiej ludności z całej Galicji rozpoczęto w rzymskokatolicką Wielkanoc 1944 roku. Właśnie kwiecień jako początek czystek wskazywał dowódca UPA Szuchewycz w lipcu 1944 roku. Czytamy: „Od kwietnia 1944 (...) Dowództwo UPA wydało rozkaz wysiedlenia Polaków, jeśli sami się nie przesiedlą” . Do tej wypowiedzi dowódcy UPA, co charakterystyczne, w książce nie znajdziemy żadnego odwołania.

Wiatrowycz nie wspomina również, że pomimo oficjalnych instrukcji nakazujących zabijanie wyłącznie mężczyzn przebieg akcji UPA w Galicji nierzadko był tak okrutny, że nawet niektórzy nacjonałiści nieśmiało sugerowali, by wstrzymać dalsze napady. Jeden z działaczy OUN tak uzasadniał podobną propozycję: „opór polskich samoobron zmalał do tego stopnia, że ukraińskie środki robią wrażenie niemieckich akcji przeciwko Żydom. (...) uważam, iż osiągnęliśmy wszystko, czego potrzebowaliśmy. Czy z Galicji wyjedzie jeszcze tysiąc Polaków mniej czy więcej, nie gra już roli” .

Kiedy zaczęła się wojna

Autor opowiada się za popularną w ukraińskiej historiografii tezą, jakoby konflikt polsko-ukraiński rozpoczęli w 1942 roku Polacy na Ziemi Chełmskiej. To twierdzenie oderwane od faktów. Ukraińcy w tym regionie padli co prawda ofiarą wielu napadów polskiego podziemia, ale stało się to głównie w latach 1943-1944. Najwięcej napaści miało miejsce już po rozpoczęciu antypolskich czystek na Wołyniu, w związku z czym w sposób oczywisty nie mogły być ich przyczyną. Pierwsze masowe mordy Ukraińców dokonane polskimi rękami w tym rejonie zostały odnotowane dopiero w maju 1943 roku. Rok wcześniej na Chełmszczyźnie dochodziło co najwyżej do drobnych potyczek czy pojedynczych napadów, które nie miały większego znaczenia dla rozwoju wydarzeń. Autor w swojej książce przytacza raptem jeden napad na ukraińskich działaczy, który faktycznie najpewniej został dokonany przez AK. Wiatrowycz wspomina poza tym o niemieckiej akcji pacyfikacyjnej z wiosny 1942 roku, której ofiarą padło około dwudziestu wsi ukraińskich i kilka polskich. Nie ukrywa, że sprawcami mordu byli Niemcy, jednocześnie jednak twierdzi (bez podania dowodów), że ukraińskie wsie zostały zniszczone wskutek polskich donosów.

Nawet jeśli to prawda, to w żadnym razie nie można uznać tego za początek „wojny polsko-ukraińskiej”. Jeśliby wzajemne donosy do władz niemieckich czy sowieckich miały wyznaczać początek zbrojnego konfliktu polsko-ukraińskiego, to należałoby koniecznie przenieść datę jego

rozpoczęcia na wcześniejszy okres. Przykładowo, jest tajemnicą poliszynela, że listę profesorów lwowskich rozstrzelanych w 1941 roku przez SS przygotowali ukraińscy nacjonaści. Dlaczego to właśnie od ich donosu nie rozpocząć datowania wojny? Nawet jeśli pozostaniemy tylko przy Chełmszczyźnie, trudno obronić datę 1942 roku. Wzajemne donosy pojawiają się tam już od początku niemieckiej okupacji. Na temat skali donosicielstwa i jednocześnie wiarygodności ukraińskich informatorów w jednym z raportów, z 6 listopada 1940 roku, niemiecki starosta w Hrubieszowie napisał: „Oczywiście pochodzące od Ukraińców donosy należy traktować z dużą ostrożnością, ponieważ ich informacje potwierdziły się tylko w kilku przypadkach. (...) Zalew informacji od Ukraińców przysparza niemieckim władzom znaczną ilość dodatkowej pracy” . Bynajmniej nie wszystkie ukraińskie donosy naziści lekceważyli. To w dużej mierze na ich podstawie na początku 1940 roku rozstrzelano wielu przedstawicieli miejscowych polskich elit. Wobec tego może od tych egzekucji należy datować początek zbrojnego polsko-ukraińskiego konfliktu?

O początku wojny można mówić dopiero wówczas, gdy mamy do czynienia z serią zsynchronizowanych wystąpień podziemia nakierowanych na osiągnięcie jakiegoś określonego celu. Do początku 1943 roku w relacjach polsko-ukraińskich na wszystkich terenach dochodziło jedynie do pojedynczych napadów oraz częstszych różnych prowokacji czy wzajemnych denuncjacji, ale to jeszcze nie była wojna. Zjawisko to określiłbym raczej jako „potyczki graniczne” i walkę wywiadów. Sytuacja ta zmienia się wraz z rozpoczęciem rzezi na Wołyniu. Do końca 1943 roku na Chełmszczyźnie zginęło z polskich rąk około 600 Ukraińców, z których większość – można się o tym przekonać choćby z analizy dokumentów opublikowanych przez Wiatrowycza – padła właśnie w 1943 roku (na okres wcześniejszy przypada znikoma liczba zabitych). Przypomnę, w tym samym czasie na Wołyniu zginęło czterdzieści-sześćdziesiąt tysięcy Polaków. Trudno te liczby uznać za porównywalne, tymczasem z lektury pracy Wiatrowycza można odnieść wrażenie, że tak właśnie jest.

Podwójne standardy

Wiatrowycz, pisząc o polskich akcjach wymierzonych w ukraińską ludność cywilną, całkowicie zmienia sposób narracji. O ile w przypadku zabójstw Polaków mnoży wątpliwości, potępia wszelkie próby generalizacji i niemal żąda bezpośredniego przyznania się sprawców, o tyle gdy mowa o cierpieniach Ukraińców, nie potrzebuje już tak rozbudowanego materiału dowodowego do wysuwania daleko idących hipotez. Po opisanu paru – jak najbardziej, niestety, prawdziwych – przypadków masakr na Ukraińcach, chętnie sugeruje, że było ich niemal tyle samo co napadów na Polaków. Nie potrzebuje też już dokumentów polskiego podziemia, by oskarżyć je o próbę wypędzenia Ukraińców z Galicji Wschodniej. Jeśli zbrodnie na Polakach stara się zminimalizować, to w przypadku mordów na Ukraińcach dąży do ich wyolbrzymienia. Problem w tym, że jeśli chodzi o lata 1943-1945, nie jest to prawdą. I nie mogę nie zadać pytania, które wielu Ukraińcom może wydać się niepoprawne: jeśli rzeczywiście polskie szacunki ofiar są tak przesadzone, to czemu niemal wszystkie próby o zgodę na dokonanie ekshumacji osób zamordowanych przez UPA spotykają się z negatywną reakcją ukraińskich władz? Przecież nie ma prostszego sposobu na rozstrzygnięcie sporu niż analiza szczątków dotąd spoczywających w bezimiennych mogiłach.

Książka Wiatrowycza zyskuje na wartości, gdy autor przechodzi do opisu działań dywizji SS „Galizien”, a także sytuacji ludności ukraińskiej w powojennej Polsce w latach 1945-1947. W drugim przypadku wynika to z tego, że los społeczności ukraińskiej był w tym czasie tragiczny. Gdy jednak autor omawia „wojnę po wojnie”, czyli polsko-ukraiński konflikt pamięci po 1989 roku, znów mamy do czynienia z uproszczoną wizją rzeczywistości. Opisując postępowanie władz polskich po 1989 roku, dokonuje selekcji faktów. Wspomina o tych okolicznościach, w których upominano się o pamięć ofiar zbrodni UPA, pomija natomiast wszystkie inicjatywy wychodzące naprzeciw ukraińskim oczekiwaniom. W Polsce wiele zrobiono, by odsłonić wstydlive dla Polaków fragmenty historii, czego świadectwem są choćby kolejne wypadki potępiania wysiedleń Ukraińców w trakcie akcji „Wisła”. Żywiono nadzieję, że w odpowiedzi na takie poczynania z ukraińskiej strony także dojdzie do krytycznej refleksji nad przeszłością i, co za tym idzie, do jednoznacznego potępienia antypolskich ludobójczych czystek etnicznych dokonanych przez UPA w latach 1943-1945. Dopiero gdy tak się nie stało, głośniejsz zabrzmiął głos środowisk narodowo-kresowych żądających uzależnienia rozwoju stosunków politycznych z Ukrainą od rozliczenia się przez jej obywateli z własną historią.

Wiele zabójstw, ale nie ludobójstwo

Wszystkie retoryczne chwytły Wiatrowycza, jak również posługiwanie się przez niego terminem „wojna”, wynikają, jak się domyślam, z próby zanegowania zbrodniczości antypolskiej akcji UPA. Dlatego już we wstępnych rozdziałach odrzuca on termin „ludobójstwo”, przeciwstawiając mu właśnie „wojnę”. Wbrew jednak temu, co pisze, użycie określenia „wojna” bynajmniej nie wyklucza jednoczesnego zastosowania pojęcia „ludobójstwo”.

Jeśli chcemy zgodnie z rzeczywistością opisać to, co stało się w czasie drugiej wojny światowej między Polakami i Ukraińcami, musimy używać zarówno terminu „ludobójstwo”, jak i „konflikt zbrojny”. W latach 1943-1945 doszło do „wojny w wojnie”: do polsko-zachodnioukraińskiej wojny w ramach drugiej wojny światowej, ale jej początek wyznaczają rzezie prowadzone przez OUN-B i UPA na Wołyniu. Ukraińscy nacjonałiści, chcąc za wszelką cenę „naprawić” skutki przegranej wojny z lat 1918-1919, zdając sobie sprawę z własnej słabości, a jednocześnie uznając stosowanie przemocy i terroru za nieodłączną część polityki, postanowili rozwiązać narodowościowy węzeł gordyjski na Wołyniu i w Galicji Wschodniej za pomocą mającej ludobójczy charakter akcji antypolskiej. Otwarty konflikt pomiędzy polskim i ukraińskim podziemiem doprowadził do wielu starć zbrojnych, ale nie może to przysłaniać faktu, że znakomita większość masakr dotknęła bezbronnej ludności w niczym niezagrażającej ukraińskiej partyzantce.

Należy też wyraźnie oddzielić od siebie dwie fazy konfliktu polsko-ukraińskiego. O ile pierwsza, w latach 1943-1945 ściśle wiąże się z antypolskimi czystkami UPA, to druga miała już inny charakter – upłynęła ona w cieniu stalinowskich czystek etnicznych. W latach 1944-1946 dotknęły one z jednej strony Polaków wypędzanych z Wołynia i Galicji Wschodniej, a z drugiej Ukraińców przymusowo wywożonych z ziem dzisiejszej Polski. W 1947 roku kolejna czystka etniczna objęła pozostałą jeszcze w Polsce mniejszość ukraińską, którą wywieziono na ziemie zachodnie i północne. Wysiedlenia, odbywające się z woli Stalina (a w przypadku akcji „Wisła” także Bieruta i Gomułki), były elementem wielkiej przebudowy Europy Środkowej na sowiecką modłę.

Historia pisana na nowo?

Drugą polsko-ukraińską wojnę należy uznać za książkę zdecydowanie nieudaną: napisaną poniżej zdolności jej autora. Co gorsza, jest ona szkodliwa dla dialogu polsko-ukraińskiego, pogłębi bowiem tylko wzajemne rozbieżności. Na czytelniku ukraińskim, słabo zorientowanym w polskiej literaturze przedmiotu, książka zapewne wywrze duże wrażenie. Może on ją odebrać jako rzetelną polemikę z pracami wydawanymi w Polsce; niektórzy recenzenci już piszą o „przełomie” w ukraińskiej historiografii i sugerują, by wnioski w niej zawarte zostały uznane za obowiązującą państwową wizję dziejów. Tymczasem dla polskich naukowców będzie ona jedynie kolejną próbą pomniejszenia i usprawiedliwienia zbrodni popełnionych na polskiej ludności cywilnej.

Zagadką pozostaje dla mnie, co skłoniło Wiatrowycza do napisania takiej pracy. Wydawało się, że jak mało kto jest on kompetentny, żeby przygotować pełną i rzetelną monografię działań UPA. Zamiast jednak uprawiać solidną historiografię, postanowił napisać książkę z tezą: „UPA była bohaterska, a zarzuty pod jej adresem są przesadzone, sfabrykowane lub wymyślone, w każdym razie nieprawdziwe”. Czyżby zafascynowało go zjawisko tak zwanej polityki historycznej uprawianej w państwach sąsiadujących z Ukrainą? Nawet w Rosji, gdzie pokusy wykorzystywania historii dla celów politycznych są ciągle żywe, każdy potrafi odróżnić rozprawy rzetelnych historyków od tych będących elementem „polityki historycznej”.

Wołodymyr Wiatrowycz, *Druha polśko-ukrajinska wijna 1942-1947*, Wydawniczyj Dim „Kyjewo-Mohylanska Akademijska”, Kyjiw 2011.

Tekst opublikowany w: „Nowa Europa Wschodnia” Nr 2/2012.



Galeria zdjęć

Aktualności

Galeria zdjęć

